

STANISŁAW MILEWSKI

Codziennosc niegdysiejszej Warszawy



OPRACOWANIE GRAFICZNE Andrzej Barecki
REDAKCJA Agnieszka Dziewulska
KOREKTA Jolanta Spodar
ŹRÓDŁA ZDJĘĆ I ILUSTRACJI
„Kłosa” (1865–1890), „Tygodnik Ilustrowany” (1859–1914)
oraz archiwum autora
Copyright © by Stanisław Milewski, 2010
Copyright © by Wydawnictwo Iskry, Warszawa 2010
ISBN 978-83-244-0134-5
Wydawnictwo Iskry
ul. Smolna 11
00-375 Warszawa
iskry@iskry.com.pl
www.iskry.com.pl

Od autora

HABENT SUA FATA LIBELLI – mają swoje losy książki. Także i te, które skończyły swoje życie na etapie zamierzeń lub też napisane zostały inaczej, niż przewidywał pierwotny zamysł.

Po oddaniu do druku w Państwowym Instytucie Wydawniczym na początku lat osiemdziesiątych książki *Ciemne sprawy dawnych warszawiaków* (drugie wydanie ukazało się w 2009 r.) zostałem ze sporą ilością materiałów z XIX-wiecznych gazet, dla których w tamtej pozycji zabrakło miejsca lub też nie dały się wykorzystać ze względu na to, iż wykraczały poza ramy zakreślonego tematu.

Postanowiłem wówczas napisać *Życie codzienne w XIX-wiecznej Warszawie* i konspekt takiej książki przedstawiłem w PIW-ie. Został on wstępnie przyjęty, ale nagle i długotrwała, ciężka choroba na wiele lat wytrąciła mi pióro z ręki. Historia życia codziennego XIX-wiecznej Warszawy nie przestała mnie jednak zajmować i na początku obecnej dekady nieśmiało do niej powróciłem. Gdy w „Iskrach” ukazała się kontynuacja poprzedniej książki – *Ciemne sprawy międzywojnia*, zachęcony przez niezwykle mi życzliwego prezesa tego Wydawnictwa – dr. Wiesława Uchańskiego, wydałem *Podróże bliższe i dalsze, czyli urok komunikacyjnych staroci*. Pod tym niezbyt fortunnym tytułem kryły się po prostu dzieje komunikacji miejskiej w Warszawie.

Książka ta została bardzo ciepło przyjęta przez Czytelników, dlatego też napisałem *Intymne życie niegdysiejszej Warszawy*, w której częściowo wykorzystałem materiały zebrane do dziejów dawnego życia codziennego stolicy. Ta publikacja przyjęta została jeszcze cieplej i nawet nagrodzona jako książka miesiąca w maju 2008 roku. Rok później powstała nowa książka: *Szemrane towarzystwo niegdysiejszej Warszawy*. Teraz oddaję Czytelnikom czwartą z kolei: *Codziennosc niegdysiejszej Warszawy*, poświęconą sprawom bytowym, warunkom mieszkaniowym i innym powszednim problemom mieszkańców XIX-wiecznej Warszawy, którym przyszło żyć w trudnych politycznie czasach pozbawionych nadziei, chyba najcięższych w historii miasta.

Trzeba w tym miejscu zaznaczyć, że każda z wymienionych książek powstawała *ad hoc*, już jako ostatnia, bez całościowego zamysłu, dlatego nie dało się uniknąć pewnych powtórzeń, rozwinięć wątków i innych niedociągnięć głównie natury formalnej. Powstała jednak swoista tetralogia, cykl czterech książek o wspólnym temacie i bohaterze: Warszawie, stolicy, która przeszła dramatyczne dzieje. Pomijam tu skomplikowaną

sytuację polityczną, koncentrując się na trudach codziennego, nędznego bytowania w mieście pozbawionym samorządu, który miałby wpływ na jego rozwój ekonomiczny i społeczny.

Książka została pomyślana jako swoisty reportaż historyczny, obficie okraszony ilustracjami z epoki. Dlatego dopuszczam do głosu przede wszystkim bezpośrednich świadków tamtych czasów, ludzi – nie tylko dziennikarzy – którzy wyrażali swe opinie i przekazywali spostrzeżenia w codziennej prasie i tygodnikach. Są w niej również uwzględnione opracowania współczesnych nam historyków, zajmujących się dziejami miasta w różnych, wiążących się z tematem aspektach. Główną jednak materią książki – podkreślmy raz jeszcze – są różnorodne wspomnienia ludzi z tamtej zamierchłej dziś epoki.

Pragnę na koniec serdecznie podziękować wszystkim, którzy pomogli mi napisać tę książkę. Przede wszystkim lekarzom, którzy postawili mnie na nogi i w ogóle umożliwili mi pracę, a także Pani Joannie Jaszek-Bieleckiej, kierownicze działu warszawianów Biblioteki Publicznej na Koszykowej oraz Panu Adamowi Dziurzyńskiemu z Zakładu Zbiorów Mikrofilmowych Biblioteki Narodowej, za to, że zawsze mogłem liczyć na ich niezawodną pomoc. Dziękuję również dyrektorowi wydawniczemu „Iskier”, panu Krzysztofowi Obłuckiemu, za ponadstandardową współpracę i przyjacielskie podtrzymywanie na duchu, pani redaktor Agnieszce Dziewulskiej za wkład w ostateczny kształt książki oraz panu Andrzejowi Bareckiemu za niebanalne opracowanie graficzne całej serii moich książek.

Przeciętna dla Warszawy: 33 lata

- Największa śmiertelność na Pradze ♦ Hrabia z tytułem doktora medycyny
♦ Manifest praktycznego pozytywizmu ♦ „Studnie przy wychodkach i śmietnikach”
♦ Niechlujstwo za pluszowymi kotarami ♦ Gdzie są „te miejsca”? ♦ „Zaraża powietrze, gryzie w oczy”
♦ „Denuncjacja” doktora Markiewicza ♦ Niewywożone śmieci ♦ Higieniści zagrażają
interesom Cesarstwa ♦ „Wystawa, jakiej Paryż dotychczas nie widział” ♦ Towarzystwo
po kilkudziesięciu latach

TAK BYŁO POD KONIEC XIX WIEKU według wyliczeń Bolesława Prusa, który w swych kronikach pisanych głównie dla „Kuriera Warszawskiego” (w tym przypadku dla „Kuriera Codziennego” nr 140 z 22 maja 1898 roku) i innych czasopism uwielbiał posługiwać się wszelkimi danymi statystycznymi. Nawiasem mówiąc, swe felietony i artykuły dziennikarskie często szpikował różnymi wyliczeniami i faszerował konkretami z życia, co w opinii niektórych redaktorów naczelnych prowadziło do zniechęcenia czytelników i spadku prenumeraty.

I w tym przypadku był konkretny. Podał, że wprawdzie „w Państwie Rosyjskim w guberniach Cesarstwa” żyje się jeszcze krócej, bo przeciętnie 27 lat, ale już Polacy żyją krócej o dziesięć lat od Anglików, a o dwadzieścia od Norwegów... W Galicji średnia wynosiła około 30 lat, w Szwecji 50, we Francji 43, w Prusach 37, we Włoszech zaś tyle samo co w Królestwie Polskim.

Jak ustaliła Anna Słoniowa w pracy *Początki nowoczesnej infrastruktury Warszawy*, najwyższą śmiertelnością, także powyżej średniej dla całego miasta, wyróżniała się Praga. Bardzo wysoką śmiertelność notowano w cyrkule powązkowskim, naj-

niższą w latach osiemdziesiątych w cyrkule nowoświeckim oraz bielańskim. Jeśli zaś chodzi o przyczyny śmierci liczone w promilach, to dominowały zatrucia pokarmowe.

Jeśli już jesteśmy przy ciekawych danych statystycznych, to odnotować też warto – niejako na marginesie – że według spisu jednodniowego ludności z 1882 roku na ogólną liczbę 387 tys. mieszkańców Warszawy 58,64% stanowili ludzie wolni, 34,08% pozostający w związku małżeńskim, owdowiali 6,83%, rozwiedzeni 0,34%, a „osoby stanu cywilnego nieoznaczonego” – 0,10%. Wśród osób wolnych 61,45% stanowili mężczyźni, a 56,11% kobiety, wśród pozostających w związku małżeńskim mężczyźni 36,05%, a kobiety 32,32%, wśród rozwiedzionych odpowiednio 0,18% i 0,49%, a niewiadomego stanu cywilnego – 0,07% i 0,13%. Wynikało z tego, że w mieście wśród wolnych i zostających w związkach małżeńskich jest więcej mężczyzn niż kobiet, natomiast wdów jest pięć i pół razy więcej niż wdowców, rozwiedzionych kobiet dwa i pół razy więcej niż rozwodników.

Komentując rezultaty tego spisu dla petersburskiego „Kraju” (1883 nr 41), gdzie cenzura nie była tak surowa jak na miej-



PLAN MIASTA Z 1885 ROKU



scu, Bolesław Prus pozwolił sobie nawet na aluzje co do samopoczucia warszawiaków. Zwrócił uwagę na fakt, że „urodzeni w mieście tworzyli 53%, a przejezdni 1%.

Gdy nadmienimy, że np. rodowicy berlińscy stanowią ledwie 43% ogółu ludności Berlina, a rodowicy paryżanie tylko 32% ogółu Paryża, że nawet w Lipsku

i Monachium ludność urodzona na miejscu tworzy ledwie 37%, dojdziemy do wniosku, że Warszawa należy do tych większych miast, których charakter wewnętrzny zmieniać by się powinien najwolniej. Jest w niej pod warstwami ludności napływowej stosunkowo grubszy niż gdzie indziej pokład miejscowy; ogół więc powinien by się przekształcać półtora raza wolniej niż w Paryżu, Monachium i Lipsku.

Drugą wybitną cechę Warszawy – pisał dalej – stanowi obfitość kobiet. Liczy się tu na 100 mężczyzn 111 przedstawicielek płci nadobnej, czego nie ma ani w Paryżu, ani w Wiedniu. Gdy zaś dodamy, że wśród mieszkańców grupa osób między 10 i 20 rokiem życia jest najliczniejszą i że stosunek ludności w wieku nieprodukcyjnym (352 na 1000) również trafia się nieczęsto, wniesić by z tych cyfr można, że Warszawa jest miastem mniej pracującym, ale za to weselszym, grzeczniejszym i ruchliwszym niż inne. Podobno tak kiedyś było, lecz od pewnego czasu Warszawa traci humor. Na to zjawisko zwrócił uwagę jeden z konsulów zagranicznych, mówiąc: «Wy tu od kilku lat wyglądacie na bardzo zgnębionych». O słuszności tej uwagi nie wątpię. Kiedym przed paru laty wrócił z Wiednia do Warszawy, zdawało mi się, że jestem w mieście samych bankrutów i przestępców, tak ludzie wyglądali ubogo i ponuro. Dziś zaś jest znacznie gorzej” – spuentował.

PRUS ZRESZTĄ NIE BYŁ PIERWSZYM, który alarmował miasto wymownymi

i ponurymi statystykami dotyczącymi długości życia warszawiaków. Już dwadzieścia lat przed nim hrabia z tytułem doktora nauk medycznych, zdobytych w petersburskiej Akademii Medyko-Chirurgicznej, Hubert Krasieński, zrobił to na łamach „Kuriera Warszawskiego” (1879 nr 219; to samo, ale znacznie szerzej powtórzył rok później w kilku numerach „Gazety Lekarskiej”). A był medykiem pierwszej ligi, bo prócz owego doktoratu, specjalizował się w Paryżu przez trzy lata w bakteriologii i higienie, zyskując przyjaźń samego Pasteura, a na dodatek jeszcze nie mniej sławnego Jeana Martina Charcota, wybitnego klinicysty i neurologa, ówczesnie kierującego katedrą anatomii patologicznej.

Po lekturze studium Katherine Ashenburg *Historia brudu* można by domniemywać, że nad Sekwaną było pod względem higieny niewiele lepiej niż w syrenim grodzie. Dla hrabiego, który powrócił do Warszawy wprost z Paryża, różnice były ogromne. Jego *Uwagi o zmniejszeniu śmiertelności w m. Warszawie* na pewno studiował z wielkim zainteresowaniem Sokrates Starynkiewicz, który już od kilku lat był prezydentem miasta, niezwykle oddanym tutejszej społeczności. Był przeciwnikiem Kaliksta Witkowskiego, generała carskiego, który przed nim – od czasu powstania styczniowego – na tym stanowisku rządził miastem.

Starynkiewicz – co ustalili historycy – z własnej kieszeni dokładał do inwestycji miejskich, i to nieraz znaczne kwoty. Jego poprzednik, co już jest mniej udokumento-

wane i utonęło w tzw. pomroce dziejów, był łasy na pieniądze i raczej nie zdobyłby się na podobną lekkomyślność. Na pewno wiele rubli z popowstaniowych kontrybucji, którymi zostało obciążone miasto, trafiło wprost do jego kieszeni, o łapówkach od przedsiębiorców starających się o koncesje na tramwaje konne (bracia Zeltowie) nie wspominając. Dopiero Starynkiewicz uzdrowił zabagnioną administrację miejską.

Starynkiewicz nie musiał zresztą zaznajamiać się z konstatacjami hrabiego Krasińskiego za pośrednictwem popularnego „Kurierka”. Powołane już wcześniej komisje i podkomisje sanitarne od jakiegoś czasu zajmowały się postulatami wykształconego w Paryżu doktora; w większości jednak kończyło się jak zwykle na dyskusjach – a śmiertelność, jak była w Warszawie wysoka, tak była i dalej; vide liczby podane przez Prusa.

„KOMITET OBYWATELSKI – informował jego przewodniczący hrabia Krasiński – jednoznacznie uznał za niesłychanie ważną i silną potrzebę poprawienia obecnego stanu rynsztoków miejskich, a nawet zastosowując się do posiadanych przez magistrat funduszów, wspólnie z władzą miejską uchwalił, że na najciaśniejszych i najludniejszych ulicach z domami bez podwórzy i bez studzien urządzonymi być winny bezzwłocznie rynsztoki wyasfaltowane.

W jednym z punktów swej opinii komisja sanitarna twierdzi nawet, że przerebienie dzisiejszych rynsztoków jest rzeczą tak pilną, iż w razie niedostateczności

funduszów raczej na budowę rynsztoków niż na ulepszenie trotuarów użyć by je należało.

Rynsztoki zresztą, ta jedna z najstraszniejszych plag Warszawy, od dawna już zwracały uwagę lekarzy i specjalistów, a Warszawskie Towarzystwo Lekarskie wielokrotnie w tej mierze przemawiało.

Żądało ono poprawienia owych zbiorników trujących miazmatów, a sekretarz towarzystwa prof. Wiktor Szokalski wypracował nawet i zarządowi miasta przedstawił projekt poprawienia tanim kosztem rynsztoków warszawskich; projekt ten przecież nie odniósł żadnego rezultatu.

Sam fakt, że ścieki mają długości 56 wiorst [...] aż nadto wymownie o ich szkodliwości opowiada. Bo i cóż by powiedzieli warszawianie, gdyby naraz w samym środku miasta znalazło się zgniłe, pełne nieczystych miazmatów jezioro, mające obszaru koło 100 000 stóp kwadratowych?... A jednak, pomnożywszy długość rynsztoków na ich szerokość (tę ostatnią liczymy tylko cali 6, choć bywa dwa razy większa), przekonamy się, że ich powierzchnia odpowiada najzupełniej obszarowi takiego jeziora.

Ta tylko różnica, że gdy jezioro zgnilizny wywierałoby swój zgubny wpływ na niezbyt wielką przestrzeń, rynsztoki roznoszą miazmat po najoddalniejszych zakątkach miasta, i wszędzie, na każdym kroku przepelnione organicznymi istotami rozkładowymi niszczą zdrowie i zabijają ludzi. Płyną w nich zawarte pod wpływem słońca i powietrza gniją,

a wyziewy unoszące się ponad trotuarami łączą się z powietrzem, którym oddychają przechodnie.

Osobliwie też w lecie, gdy gnicie jest bardziej przyspieszone, spostrzegać się dają zgubne skutki działania rynsztoków. Bez względu na znaczne zmniejszenie się ludności w tym czasie z powodu wyjazdu wielu osób na letnie mieszkania, średnia śmiertelność latem znacznie jest większa aniżeli zimą porą”.

Hrabia Krasieński podał na podstawie urzędowych wykazów, że w 1878 roku „bez żadnej epidemii umarło w Warszawie w czerwcu 1408 osób, w maju 1368, w lipcu 1318, w sierpniu 1162, tymczasem zaś w listopadzie liczba zmarłych była 891 osób, w grudniu 916, w styczniu 992 i w lutym 912”.

Z tego wyciągnął wniosek, że „w zimowych miesiącach, pomimo znacznego zwiększenia ludności skutkiem powrotu z zagranicy i letnich mieszkań oraz przybycia wielu przyjezdnych, śmiertelność bez porównania jest mniejsza, a to właśnie z tego powodu, że mrozy zmniejszają w zimie wyziewy, a deszcze same splukują rynsztoki.

Oprócz rynsztoków Warszawa dość ma jeszcze różnego rodzaju źródeł zarazy. Dość tu wspomnieć długi, szkaradnie cuchnący kanał, odkryty, ciągnący się wzdłuż okopów rów przy ulicach Dzikiej i Powązkowskiej przepełniony ściekami garbarskimi, zgniłe bagna na Pradze, targi, pomiędzy którymi prym trzymają praskie, dla zwierząt przeznaczone rzeźnie, słynne gęsiarnie za rogatkami wolskimi, wreszcie całą staromiejską dzielnicę. Dość tego sze-

regu, który jednak moglibyśmy bez trudu przedłużyć. Do tych źródeł zarazy dodać należy mętną wodę wiślaną, która przyczynia się ogromnie do wywołania kataru żołądka i kiszek, nie licząc innych chorób...

Rzecz prosta, wszystkie tu wskazane wpływy odbić się muszą na olbrzymim w Warszawie procencie śmiertelności. A przecież wiadomo, że miasto nasze służyło dawniej ze swego dobrego powietrza, jako położone na górze na 372 stopy nad powierzchnią morza, a zresztą daleko więcej na południe niż Londyn, Berlin, Ryga i Petersburg.

Pomimo to przecież śmiertelność u nas większą jest niż gdziekolwiek, kiedy bowiem w roku zeszłym procent śmiertelności był w Poznaniu 25,7% (na tysiąc), we Lwowie 27,6%, we Wrocławiu 24,8%, w Paryżu 24,7%, w Londynie 35,5%, w Wiedniu 25,9%, w Filadelfii 17,009%



i wreszcie w Genewie 17%, tymczasem Warszawa dominuje olbrzymią cyfrą 47,44% (ludność prawosławna nawet 62,05%). Dodać trzeba, że w 1878 r. liczba zmarłych w Warszawie przewyższała liczbę nowo narodzonych w 1777 wypadków!

Godną także uwagi wskazówką jest okoliczność, że najwięcej osób umiera u nas z kataru organów trawienia (w roku 1877 – 19%, w r. 1878 – 17%), z suchot płuc (w r. 1877 – 15%, w r. 1878 – 12,5%), wreszcie z zapalenia oskrzeli (w ostatnich latach po 12%).

Dowodzi to – skonstatował na koniec ów arystokratyczny doktor – że przyczyną śmiertelności jest szkaradne powietrze i zła woda”.

Nie Krasieński wszakże był pionierem na polu miejskiej higieny. W 1875 roku, gdy funkcję prezydenta objął Starynkiewicz, powołany został do życia Komitet Sanitarny m. Warszawy, do czego przyczynili się walnie profesorowie Szkoły Głównej: Wiktor Feliks Szokalski i Henryk Łuczkiwicz. Ten pierwszy wprawdzie był przede wszystkim okulistą, ale po studiach w Niemczech i w Paryżu interesował się także fizjologią i higieną. Łuczkiwicz z kolei, który medycynę studiował w Wiedniu, Pradze i Krakowie, jakiś czas wykładał higienę w rządowych gimnazjach żeńskich w Warszawie i był ordynatorem oddziału wewnętrznego w szpitalu ewangelickim.

To on właśnie w 1876 roku opublikował na łamach „Wiek” (nr 126–129) arcyważny elaborat pt. *Kilka uwag nad stosunkami sanitarnymi miasta Warszawy*, który

bez przesady nazwać można manifestem praktycznego pozytywizmu. Czasopismo wybrał na pewno nie z przypadku. „Wiek”, założony w 1873 roku przez Fryderyka H. Lewestama, spolonizowanego Duńczyka, miał ambicję stać się pismem politycznym według najlepszych europejskich wzorów, stąd też esej Łuczkiwicza nabrał wyjątkowej rangi. Z Lewestamem kolegowali się w Szkole Głównej, bo ten wykładał w niej literaturę powszechną i jak niemal wszyscy profesorowie, a za nimi i studenci, byli zagorzałymi pozytywistami. „Wiek” wszakże nie utrzymał długo wysokiego poziomu: pod koniec roku, w którym zadebiutował doktor Łuczkiwicz, jego założyciel zmarł, a pismo przejął zięć – Kazimierz Zalewski, dziennikarz, komediopisarz i krytyk literacki, który całkiem je „skurczył”, jak mawiano w środowisku.

Łuczkiwicz i jego koledzy lekarze realizowali hasło „pracy u podstaw” w najbardziej dosłownym sensie. Chodziło im nie tylko o uchronienie polskości i patriotyczne obowiązki, ale przede wszystkim o zachowanie substancji narodu w egzystencjalnym sensie. Zmniejszyć śmiertelność Polaków, poprawić ich stan zdrowia poprzez wpajanie zasad higieny – to były główne cele Judymów w tych najtragiczniejszych dla Polski czasach. Było to zadanie o wiele ważniejsze, trudniejsze, mniej wdzięczne i nieprzynoszące takiej sławy u potomnych niż dyskusje literatów toczone w salonach i ekskluzywnych kółkach towarzyskich, przekładające się na twórczość nie zawsze wysokiego lotu.

Z obszernego elaboratu doktora Łucz-kiewicza warto przytoczyć przynajmniej niektóre konstatacje, bo ilustrują one najlepiej stan sanitarny Warszawy w drugiej połowie XIX stulecia i mentalność jej mieszkańców. Głównym ich grzechem – twierdził – była nieczystość, w której utrzymywali siebie i wszystko, co ich otacza. Żle i rzadko prano bieliznę, nieczęsto ją zmieniano. Salon wprawdzie kilka razy w roku był czyszczony, ale reszta? Nawet pokarmy przyrządzano w brudnych rondlach i w brudnych kuchniach!

Wiele uwag krytycznych poświęcił autor wodzie, której używali mieszkańcy miasta; do tego tematu jeszcze powrócimy

w innym miejscu. Najgorsze według niego było to, że studnie przydomowe znajdujące się nierzadko „przy wychodkach lub śmietnikach, dostarczają po większej części tak obrzydliwej wody, że jej nawet do mycia podłóg używać by się nie należało, a przecież biorą ją często do gotowania, a nawet, w braku innej, do picia.

Niedostatek wody w ogólności, a brak zupełny zdrowej wody jest w naszym przekonaniu tak ważnym warunkiem anty-sanitarnym Warszawy, że nie wahałobyśmy się przypisać jemu połowy nieodpowiedniej śmiertelności.

Obok złej wody zajmuje w rządzie przyczyn chorobliwości i niezwykłej



Ratusz w Warszawie, 1870 r. Rysował Podbielski.

BRUDY: INTEGRALNA CZĘŚĆ MAJĄTKU

Miniony tydzień upamiętnił się dla Warszawy niezwykłym ruchem sanitarnym. Cały „obiegowy” kapitał brudów miejskich spłynął ku Wiśle, lecz na pociechę miasta „fundusz żelazny” ulokowany w domach i podwórzach — pozostał nietknięty.

Właśnie przed opatrnościowym deszczem, który wziął w entreprzyzę wywózkę błota z ulic, ogłoszono i obwołano po pismach, że podwórza mają być oczyszczone w ciągu kilku dni. Przeżyliśmy ich już dzięki niebu kilkanaście, nie doczekawszy się nawet zamiaru oczyszczenia. I będzie tak co tydzień, co miesiąc, przez wszystkie lata, aż do końca czasów, dopóki municipalność siebie i właściciele domów nie przekona o niezbedności wywiezienia śmieci, a dozoru nad tą czynnością nie powierzy obywatelom.

Biężki odwiecznemu zaniedbaniu spraw sanitarnych, dla posiadacza kamienicy śmiecie i brudy nie są bynajmniej artykułem obrzydliwym, ale integralną częścią jego majątku. Zaduch bijący ze śmietników i tym podobnych zbiorowisk jest dla nich tym, czym turkot młyna dla starych młynarzy. Gdyby pewnego dnia podwórza przestały cuchnąć, właściciele domów straciliby wiarę w posiadanie, uważaliby się za wywłaszczonych z nieruchomości, a przynajmniej sądziłoby, że Towarzystwo Kredytowe zniży im o 25% pożyczkę.

Taką już jest siła nalogu, wobec której panna bez posagu i kamienica bez zapachu tracą na wartości.

Przy tym — śmiecie w domu kamienicznika odgrywają rolę rezydentów albo ubogich kuzynów. Póki siedzą na miejscu, póty dobrze, lecz gdy ich zechcesz wypędzić, musisz zaraz dać i na kosztą podróży... A pieniędzy szkoda!...

Na podobną chorobę tylko radykalne pomogą lekarstwa, w dzisiejszej municypalnej recepturze nieistniejące. Jakaś ogólna agitacja, naturalnie w kierunku sanitarnym, ogólna składka, ogólny wstręt do wszelkiego rodzaju brudów i ogólna praca nad usunięciem ich uwolnią nas w końcu od familijnych stosunków ze śmieciami, które dziś wydają się może niejednemu złem, ale złem nieuniknionym.

BOLESŁAW PRUS
„KURIER WARSZAWSKI” 1879, NR 40

śmiertelności równie ważne, jeżeli być może nieważniejsze miejsce z gruntu złe, szkodliwe bezpośrednio, urządzenie i utrzymywanie wychodków i kloak. Dopóki pod tym względem nie zajdzie jaka zmiana, dopóki każdy dom będzie, jak dotąd, mieścił w sobie nieprzebrane sterty nieczystości gnijących, które przy otwartych ze wszech stron wychodkach zięją zabójcze powietrze i zanieczyszczają całą atmosferę miasta, dopóty ludność nasza musi marnie i przedwcześnie wymierać, chociażbyśmy wszystkim innym warunkom jak najtroskliwiej zadośćuczynili. Przy terażniejszych stosunkach każda każda przeznaczona do przechowywania nieczystości, zatem każdy wychodek i każdy dom jest ogniskiem szkodliwych wyziewów, a więc gniazdem niewyczerpanym choroby, zarazy i śmierci. Szkodliwość złych urządzeń pogarsza się jeszcze bardziej przez niedbalstwo właścicieli domów i lokatorów, któremu nic innego zaradzić nie może, tylko surowe wmieszanie się władzy i ostre nakazy z zagrożeniem dotkliwego karanian winnych”.

Był to postulat słuszny, ale w praktyce mało skuteczny. Jak na podstawie licznych źródeł ustaliła Anna Słoniowa w pracy *Początki nowoczesnej infrastruktury Warszawy* – „jeszcze w 1884 roku, w dobie budowy kanalizacji, stan warszawskich ustępów był przedmiotem alarmów prasowych. Zdaniem mieszkańców były one skandalicznie zaniedbane. Podwórzowe ustępy umieszczane w najbrudniejszym kącie podwórza były niedostępne nocą (dopiero później w myśl przepisu policyj-

nego oświetlone całą noc), często bez zamknięcia, niemyte, sprzątane przez stróża raz w miesiącu. Oberpolicmajster odpowiedział na łamach «Kuriera Warszawskiego», że mimo «stałej troski o stan sanitarny tych urzędzeń nie może wiele zdziałać».

Funkcję tę, bardzo ważną dla porządku w mieście, sprawował wówczas jeszcze Nikołaj Buturlin (wkrótce został odwołany), Polakom ponoć życzliwy, birbant i hulaka, którego bardziej interesowały wizytacje w domach publicznych niż oglądanie ustronnych miejsc przy warszawskich kamienicach. Dopiero jeden z jego następców, Nikołaj Klejgels (1888–1896), który miał zwyczaj często dokonywać wizytacji w różnych częściach miasta, nawet wczesnym rankiem, przyczynił się do znacznej poprawy higieny. W przypadku stwierdzonych nieporządków natychmiast wydawał stosowne rozkazy, a w razie ich niewykonania potrafił nawet sprać stróża, a rządcę domu zrugać od ostatnich.

Klejgelsowi, Niemcowi z pochodzenia, co wiele tłumaczy, oddała sprawiedliwość cytowana już Anna Słoniowa. „Uwadze oberpolicmajstra – czytamy w jej pionierskim opracowaniu – nie umykały nawet odkryte wozy z materiałami budowlanymi, które nakazywał przykrywać czystymi płachtami płóciennymi, czy czystość mundurów dorożkarskich. Uczestnicząc osobiście w niejednej kontroli sanitarnej, zaglądał pan oberpolicmajster i do pralni, łaźni hotelowych, i do ustępów publicznych przy «handelkach», bawariach, nie wyłączając lepszych restauracji, gdzie słusznie podejrzewał niechlujstwo za pluszowymi

kotarami. To Klejgels był inicjatorem ankiety sanitarnej z 1871 roku, dokładnych kontroli wszystkich domów, łaźni, zakładów gastronomicznych i sklepów w mieście w 1892–1893 roku, założenia przytułków dla bezdomnych, to on wydał walkę epidemii cholery w 1893 roku, z którą owe akcje były związane».

Dlatego też szanowali go prości ludzie, czego ślady znaleźć można w książce Benedykta Hertza *Z dziejów terminatora*.

„Od czasu jak oberpolicmajstem został u nas pułkownik Klejgels – wspominał jej bohater – nikt nic w Warszawie nie znał, tylko on”. Nic dziwnego, bo był także inicjatorem tanich kuchni, bardzo popularnych wśród biedoty miejskiej. Być może z tego właśnie powodu pozytywnie zapisał się w pamięci owego terminatora.

Klejgelsa – w przeciwieństwie do jego poprzednika, Siergieja Tołstoja, który nie czystość miasta, ale jego rusyfikację miał przede wszystkim na względzie – bano się, ale w mieście był szanowany. Rządził żelazną ręką tak skutecznie, że car przeniósł go do Petersburga, aby i tam zaprowadził swe porządki, bo w stolicy Cesarstwa było jeszcze gorzej pod tym względem niż w „Paryżu Północy”. Tak z upodobaniem określali swoje miasto warszawscy felietoniści-poeci, licząc jednocześnie na palcach jednej ręki publiczne ustępy miejskie, o pisuarach ulicznych, jak w Paryżu, nie mówiąc, jako że ich po prostu nie było.

Gdy pod koniec lat sześćdziesiątych budowano Dworzec Terespolski (później nazwany Wschodnim), architektom zabrakło weny, by w jego wnętrzu znalazło

się coś tak przyziemnego, jak ubikacja dla podróżnych, co zauważył Jerzy S. Majewski w kolejnym tomie z cyklu *Warszawa nieodbudowana*.

Bolesław Prus ubolewał na łamach „Ateneum” w 1877 roku (t. III): „Pewna część nowo wznoszonych budynków, osobliwie w Alejach Ujazdowskich, zakrawa na pałace: widzimy tam żelazne eleganckie kraty i fontanny przed domami, niezwykłych form dachy, sztukaterie i kolumnady na zewnątrz. Wewnątrz też zaprowadza się gazowe oświetlenie, a gdzie można – wodociągi. Tylko miejsca ustępowe stanowią zazwyczaj piętę Achillesa w tych gmachach, z których w najlepszym razie cieszyć się mogą ludzie bardzo zamożni”.

Tenże kronikarz miasta, pisząc na podobny temat na łamach „Kuriera Warszawskiego” (1881, nr 79), zdrwił równocześnie z pruderyjnych warszawiaków, którzy zamiast powiedzieć, że chodzą po prostu o „wychodek” – używali enigmatycznego określenia „to miejsce”, na wzór „te damy”, gdy pisali o prostytutkach, bo mówili całkiem po staropolsku.

„Co do onych «miejsc»... bez nazwiska – pisał Prus – panuje taki system, jak gdyby Warszawy nie zamieszkiwali zwykli śmiertelnicy, ale – aniołowie i cherubiny. Znamy kamienice, w których są marmurowe schody, kolumny, posągi, weneckie okna i malowidła na ścianach. Ale «miejsc»... nie ma wcale! Widocznie każdy gospodarz życzy sobie, ażeby jego lokatorowie składali wizyty sąsiadowi. Sąsiad robi co może, aby «nieoczekiwani» goście, przekonawszy się o braku «miejsc»...

u niego poszli parę kroków dalej. O parę kroków dalej znowu powtarza się to samo. Gościowi nie pozostaje nic innego, jak tylko zrobić – uliczny skandal. Lecz na ulicy stoi rewirywy. Nieszczęśliwy interesant biegnie dalej. Znajduje wreszcie ulicę zaciszną, ścianę bez okien. Już zdecydował się... wtem podnosi głowę i widzi tablicę z napisem: «Zabrania się... pod karą policyjną»”.

Szkoda, że ówczesni ludzie pióra pisywali tak „z ogródkami” („mówił jej wprost albo z ogródkami o Wokulskim”, że posłużyć się cytatem z *Lalki*) zamiast realistycznie opowiadać o życiu wokół siebie. Taka, niestety, panowała maniera, że nawet Prus nie mówił wprost i to nie tylko gdy ograniczała go cenzura. Gdzież podziały się czasy Reja i innych pisarzy staropolskich, którzy pisywali językiem jędrnym i barwnym (sławetne „drożej sram niżli jadam”!), jasno wyrażającym to, co się chciało powiedzieć. W XIX wieku „nie wypadało” ani mówić, ani tym bardziej pisać o sprawach tak przyziemnych, jak załatwianie potrzeb fizjologicznych, jakby one w ogóle nie istniały.

Minęły bezpowrotnie czasy Jędrzeja Kitowicza, który w *Opisie obyczajów za panowania Augusta III* bez żenady informował czytelników, że podczas płatnych balów „jedzącym, pijącym i tańczącym ażeby nie schodziło na niczym do wygody, blisko sali reutowej był jeden pokój pełen na pawimencie [podłozie – S.M.] stolców [przenośnych sedesów – S.M.], na półkach urynałów, gdzie goście składali ciężary natury”.



Czerniaków, 1859 r.

Rysował Ceglinski i Pillati, rytował Styfi w Warszawie.

Pewnie bywało tak na licznych i tłumnych XIX-wiecznych balach w ratuszu oraz w magnackich i nie tylko pałacach i mieszkaniach, ale któż by się ośmielił o tym napisać. Cytowani tu lekarze higienści posługiwali się określeniem „wychodek”, bo ono było wówczas w użyciu (przedtem „wychód”), ale z czasem – jak pisał językoznawca z przełomu XIX i XX wieku Kazimierz Nitsch – „nowoczesny język towarzyski nawet to zdrobnienie uznał za nieprzyjemne, uciekał się do ustępu, ubikacji i innych, aż stanął na klozecie (choćby niewodnym). Częściej natomiast pisano o nocnikach (niekiedy zamykanych w specjalne szafki), słowo urynał zaś stopniowo wychodziło z użycia”.

Może w ogóle ludzie XIX wieku mniej zwracali uwagę na rzeczy codzienne, sprawy potoczne? W opisie Fritza Werenicke, Niemca, który zwiedzał Warszawę w 1876 roku, darmo szukać wielu konkretów, w przeciwieństwie do obszernego reportażu Fryderyka Schulza pochodzącego z ostatnich lat XVIII wieku. Nad Wisłą, obok Gnojnej Góry widział „nędzne drewniane chaty, otoczone ogromnymi, wysokimi kupami śmieci, które się tu ściąga z miasta – słomy, gnojów, zrzynek i gałganów – aż pod mury zamkowe się wznoszące. Kupy te wyrosłyby jeszcze wyżej, gdyby pewne stworzenia nieczyste nie udeptywałyby ich i nie rozrywały”.

Niewiele się tu zmieniło i w XIX wieku, zwały nieczystości przesunęły się tylko jeszcze dalej na południe. Prus wysłał tam Wokulskiego, który sołeckie rozłogi dostrzegł jako „płat ziemi nadrzecznej, zasypany śmieciem z całego miasta”. Opis tego „płat”, to najbardziej naturalistyczny fragment *Lalki*; jest to niemal reportaż z Powiśla. Tam autor widział bulwary, które powinny tętnić wielkomięjskim życiem.

DWADZIEŚCIA LAT przed dywagacjami Prusa na temat „tych miejsc” – Karol Gregorowicz, opisując miasto „pod względem higienicznym”, nie szczędził wykrzykni-

ków, utyskując: „Kloaki warszawskie są niezrównanej obrzydliwości! Skromna nazwa wychodków jest zbyt poetyczna, nazwać je wchodkami niepodobna, bo nie ma miejsca którędy wejść, a strach pomyśleć o wyjściu! Co może zmierzić życie, obudzić ckliwość, odebrać apetyt do jedła, żeby nie potrzebować wychodzić, to wszystko mieści się w tym bezecnym schronieniu!... Z daleka czy z bliska dusząca woń zaraża powietrze, gryzie w oczy, a co za widok na wszystkie strony... To przechodzi wszystko!”

Niewątpliwie za rządów prezydenta Starynkiewicza, głównego promotora ska-



Przed Teatrem Wielkim w Warszawie, 1885 r. Rysunek J. Ejsmonda.

nalizowania miasta, a także dzięki warszawskim lekarzom oraz „rewizjom” (tak wówczas określano kontrole) dokonywanym przez Klejgelsa i komisje sanitarne – stan „tych miejsc” uległ w mieście znacznej poprawie, przynajmniej w centralnych dzielnicach. Poza nimi bywało raczej tradycyjnie.

Włodzimierz Karol Pessel, który w *Antropologii nieczystości* cytuje ów opis warszawskiej kloaki dokonany przez Gregorowicza, przytacza też inny, dotyczący przedmieść, wzięty z rocznika 1895 czasopisma „Zdrowie”. Rzecz charakterystyczna, że miesięcznik ów, niezwykle zasłużony dla szerzenia higieny i popularyzacji osiągnięć medycyny – z tak olbrzymim trudem zyskiwał abonentów, że aż redakcja musiała zawieszać jego wydawanie. Prus, któremu ta problematyka była bardzo bliska, w jednej z cotygodniowych kronik bardzo ubolewał nad tym faktem.

Oto co odnotował ów medyczny organ: „W drugim podwórzu jest jeden ustęp z 16-oma otworami dla dorosłych i 2-ma dla dzieci, ściany i ławeczki stare, zgniłe, a pod siedzeniami ogromny otwarty dół murowany, w którym zbierają się wszystkie płynne i gęste masy, a przy nie dość częstym oczyszczaniu gniją i wydają odór nieznośny. W sierpniu r. 1894 8-letnia dziewczynka, pośliznąwszy się na desce, w dół ten wpadła i z braku pomocy udusiła się gazami. Oprócz tego, do ostatnich czasów w drugim podwórzu, tuż obok wychodka była obórka dla czterech krów, których mleko służyło dla mieszkańców domu”.

Anna Słoniowa z kolei podaje, że o szkodliwości gazów wydzielających się z latryn (9 metrów sześciennych na dobę) – „Zdrowie” pisało już dekadę wcześniej.

Autor *Antropologii nieczystości* cytuje też bardzo charakterystyczny *passus* z artykułu doktora Ludwika Natansona wydrukowanego w roczniku 1866 „Tygodnika Lekarskiego”. „Niemają wpływ na zanieczyszczanie powietrza, mianowicie w domach mających ciemne podwórza – czytamy – stanowią moczniska czyli ustępy do oddawania moczu (*urinoirs*). Szczególnie czuć się to daje w podwórzach przy szynkowniach, bawariach, handlach win i restauracjach. Niemniej nieczyste są niektóre zakątki domów od ulic, gdzie przechodzący, niedający się groźbą na tablicy wyrażoną, bez względu na przyzwoitość publiczną, odbywają swą nieraz nagłą i bez narażenia życia potrzebę”. *Nil novi sub sole* – chciałoby się powiedzieć, przechodząc i dziś obok bram na Hożej, Mokotowskiej czy innych ulicach samego centrum miasta.

KLEJGELS BYŁ BARDZO WYCZULONY na głosy prasy i za jego kadencji podobna historia, jaka przydarzyła się na początku lat osiemdziesiątych, gdy oberpolicmajstrem był Buturlin, na pewno nie miałyby miejsca. Oto inny medyk, Stanisław Markiewicz, któremu sprawy higieny leżały na sercu nie mniej niż Łuczkiwiczowi i Krasieńskiemu – zadziałał bardzo nietypowo. Tamci pisali elaboraty, które miały bez większego echa – on postanowił sprokurować konkretny... donos i ogłosić go w prasie.

Czytelnicy sędziwej (ukazującej się od 1774 roku, ale nieco mniej popularnej niż wszędobylski „Kurier Warszawski”) „Gazety Warszawskiej” na pewno ze zdumienia przecierali oczy, gdy 17 sierpnia 1881 roku na czołowym miejscu w rubryce „Wiadomości bieżące krajowe” przeczytali obszerny artykuł podpisany przez popularnego w mieście lekarza pt. *Denuncjacja*.

Oto co pisał doktor Stanisław Markiewicz: „Na niedostatki panujące w mieście naszym pod względem sanitarnym narzekamy równie głośno jak bezowocnie od lat wielu. Szkodliwości najrozmaitszej natury oddziałują na całą ludność miejską, której przeważna część jednak, niestety, sama dobrowolnie te uszkodzenia podtrzymuje, a ważności ich nie zna. Jakież najbardziej gorszące i groźne nieporządki, od czasu do czasu, bez żadnego rezultatu podnosi prasa. Czyżby istotnie nie można było znaleźć środka, by jednostki złej woli i nieświadome lub niedbałe organa publiczne moralnie czy materialnie pobudzić do spełniania wymagań prostej uczciwości i najwyraźniejszych przepisów prawa? Bardzo przykrym, ale, niestety, zdaniem moim konieczny staje się środek, do którego dziś się uciekam, do którego nadal uciekać się obiecuję i do którego użycia kolegów moich lekarzy jak najgoręcej wzywam – środkiem tym jest publiczna denuncjacja.

My lekarze, i tylko my jedni, codziennie mimowolnie odbywamy «ankietę» sanitarną w całym mieście, i otóż na zasadzie moich codziennych spostrzeżeń czuję się w prawie wyrzec, że zaniedbanie wy-

magań sanitarnych w Warszawie przechodzi wszelkie wyobrażenie, a co gorsza w miarę wzrostu liczby domów i ludności wzrasta z dniem każdym. My więc lekarze mamy prawo i obowiązek, przez publiczne donoszenie o napotkanych nieporządkach i zaniedbaniach, przywoływać mieszkańców i policję do spełniania obowiązku, którego spełnić nie chcą lub nie umieją.”

Po tym ogólnym wstępie zdesperowany lekarz przeszedł do konkretów. Opisał swą wizytę sprzed paru dni w mieszkaniu przy ul. Twardej 51 na drugim piętrze, gdzie wezwano go do ciężko chorego na dyfteryt 5-letniego chłopczyka. Lokal był zawilgocony, bo dom nie został jeszcze wykończony i wszystko w nim było „świeże i mokre”. Jakim prawem właściciel go wynajął? – pytał. Stwierdził też „najstraszniejszą woń rynsztokową, pochodzącą z leja zlewowego, znajdującego się przy jednej ze ścian w pokoju mieszkalnym”, a wodociąg w domu nie był. Podał też adresy domów, w których kilka osób zapadło na ospę, a nie było w tych przypadkach „żadnej interwencji policyjno-lekarskiej”, chociaż odpowiednie władze zostały poinformowane o ognisku tej zakaźnej choroby. W domu nr 7 przy Żelaznej, gdzie też panowała ospa, na schodach prowadzących na poddasze – pisał – „znalazłem niechlujstwo przechodzące wszelką miarę”. Co na to właściciel domu, stróż, sami lokatorzy? „Dopóki – kończył swój «donos» ogólniejszą refleksją – utrzymanie czystości na schodach i w sieniach do nikogo należeć nie będzie, i dopóki lokatorowie tym stanem usankcjonowanego zwyczajem

brudu, upoważnieni będą wschody i sienie uważać za rezerwuar wszelkich odpadków i odchodów – dopóty o edukacji higienicznej, więcej powiem: o cywilizacji naszej ludności nie może być mowy”.

Niech Czytelnik wybaczy długie cytaty, ale warto je jeszcze kontynuować, bo nikt, jak doktor Markiewicz, nie przedstawił tak wyraziście kwestii „śmietnikowej” w Warszawie, i to bynajmniej nie na przedmieściach. „Przy wejściu na wschody – ciągle Żelazna 7 – znalazłem gnijący, napełniony prawie po brzegi zbiornik drewniany na czterech nogach nad rynsztokiem stojący, z którego najfatalniejsze wzywy w otwarte okna wszystkich mieszkań

i do klatki schodowej wprost się unoszą. Ten śliczny statek, który obecnie na wszystkich podwórzach naszego miasta znajdujemy, jest doskonałą ilustracją naszych stosunków sanitarnych i naszego postępu na drodze melioracji higienicznych. Narzekało się długo i słusznie na tak zwane śmietniki gdzieś w odległym kącie podwórza stojące. Uwolnić się od śmietników nie można, choć są przedsiębiorcy, którzy tanio i dobrze wszystkie śmiecie zabierają – codziennie gotowi, a nadto darmo podejmują się oczyszczać ulice miasta. Dlaczego z tej propozycji się nie korzysta? Rozwiązanie: oddział karowy! Otóż śmietniki się utrzymały dlatego, że istnieje oddział karowy,



Zajazd furmański na Grzybowie, 1878 r. Rysował z natury Xawery Pillati.

SZCZYT NIECHLUJSTWA

Ilu na przykład maniaków czystości i zdrowia potrzeba by w naszym kraju, ażeby zaprowadzić niezbędne ulepszenia higieniczne?

W takiej Warszawie mamy komisję sanitarną, sumiennie pełniącą swoje obowiązki, skoro w roku zeszłym rewidowała 3319 posesyj i nałożyła 10 186 kar na właścicieli (po trzy razy na jednego!). Ale co stąd? . . . W roku przyszłym będzie znowu z górą 3000 rewizyj i 10 000 kar, w roku następnym znowu to samo i tak bez końca.

Jak dalece jest u nas rozwinięte niechłujstwo, dowodzi fakt, że spomiędzy 1329 obejrzanych . . . miejsc . . . to jest tych, o których nie mówi się w przyzwoitym itd., z 1329 takich miejsc komisja sanitarna kazała przerobić 1321. Słyszycie, warszawiaczy?

Z tak ogromnej cyfry zaledwie 8 uchroniło się od przeróbki, reszta zaś wygląda pomimo przeróbki tak, jakby . . . nigdy ich nie przerabiano!

Gdyby w którymkolwiek z miast angielskich istniały podobne nieporządki, natychmiast znalazłoby się kilku oryginałów, którzy postanowiliby zreformować je do gruntu. Założyliby klub, mieliby własną chorągiew, maszerowaliby z muzyką przez ulicę, wrzeszcząc, że zginie Anglia, jeżeli tego nie poprawi! . . . Nie koniec na tym, ponieważ wydawaliby jeszcze broszury, drukowaliby artykuły w dziennikach, wytaczaliby procesa gospodarzom, nagradzaliby dbałych o czystość stróżów, urządzaliby wystawy odnośnych mechanizmów. . .

Z początku ludzi takich nazywano by wariatami, wkrótce jednak awantury ich poczęłyby zapisywać się

który śmietników nie wywozi. Ale ponieważ i stróżowi, i kucharce było do śmietnika za daleko chodzić, wprowadzono zatem do gospodarstwa podwórzowego bardzo wygodny dla stróżów i kucharek mebel w postaci przenośnego śmietnika, który się ustawia bliźutko przy mieszkaniu, przy sieni, pod oknem. Takich śmietniczków stawia się na podwórzu kilka, żeby korzyści z nich płynące i wznoszące się z nich zgniłe wyziewy wszystkim jednakowo dostały się w udziale. Policja zwyczajna, sądząc z roz-

powszechnienia się tych rozsądników zgnilizny, snadź za dobre je uznaje. Czyż policja sanitarna nic przeciwko temu nie miała dotąd do powiedzenia, i czy nie uważa za właściwe oddziałać przynajmniej na to, iżby owe skrzynki były koniecznie żelazne, koniecznie co dzień opróżniane i do czysta wymywane? Odpowiedzą mi, że takich rozporządzeń wkraczających w gospodarstwo domowe policja teraz wydawać nie może. Ale kazać wszystkim właścicielom posypać brzegi rynsztoków proszkiem [środkiem odkażającym, który wydzieliał obrzydliwą woń, na co powszechnie skarżyli się mieszkańcy miasta, a w ich imieniu parę razy Prus – S.M.] bez żadnego celu i skutku, wbrew opinii powag naukowych, kosztem 30 i kilku tysięcy rubli rocznie, to policja przez lata całe może, naturalnie oparta na powadze swego organu sanitarnego”.

Dodajmy tu, celem wyjaśnienia, że pisząc o „oddziale karowym, który śmieci nie wywozi”, doprowadzony do szewskiej pasji medyk miał na myśli ówczesne przedsiębiorstwo asenizacyjne, którego zadanie sprowadzało się do oczyszczania miasta ze wszelkich nieczystości. Nie robiło tego w sposób jako tako zadowolający, o czym wielokrotnie wspominał Prus w kronikach, ani w XIX wieku, ani w XVIII, gdy zostało powołane do tego celu. Magazyn karowy, bo tak brzmiała jego początkowa nazwa, powstał na początku lat sześćdziesiątych; jego stajnia i zajezdnia wozów zlokalizowane zostały za Arsenałem, na rogu ulicy Przejazd i Nalewek, na wprost ogrodu Krasińskich. Pod koniec